

Rozpoznawalność i splendor

W dwudziestą rocznicę ustawy o mniejszościach narodowych i etnicznych przyglądamy się, jak Karaimi w Polsce przeszli drogę od niewidoczności do pełnoprawnej obecności w przestrzeni publicznej – z dumą, godnością i coraz większym uznaniem.

„Co ustawa zmieniła w funkcjonowaniu społeczności mniejszościowych?” – tak brzmiał temat panelu dyskusyjnego, w którym przedstawiciele kolejnych mniejszości parami prezentowali swoje refleksje i diagnozy podczas IV Konferencji Naukowej „Mniejszości narodowe, etniczne i językowe w Polsce na tle europejskim” na Uniwersytecie w Białymstoku w grudniu roku 2024. Mariola Abkowicz pokazała wielorakie działania środowiska karaimskiego z ostatniego dwudziestolecia w formie prezentacji multimedialnej z wnikliwym komentarzem, dzięki czemu ja mogłam sobie pozwolić na ton bardziej subiektywny czy wręcz felietonowy.



Czy pamiętają Państwo wystawę wielkoformatowych fotograficznych portretów w przestrzeni miejskiej, czyli kampanię „Podwójna tożsamość”? W roku 2008 na polskich ulicach pojawiło się kilkanaście takich wizerunków, zawsze podpisanych czterema wyrazami według wzoru, który na portrecie Adama Dubińskiego ułożył się w słowa: Jestem Karaimem/Jestem Polakiem. Dla mnie kampania ta była podniosłym wydarzeniem, sankcjonowała bowiem moje prywatne odczucia, niezmiennie od dzieciństwa, czyli lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia. W nękanym peerelowskim niedostatkiem krakowskim domu moich rodziców,

Marianny Zajączkowskiej-Abrahamowicz z Wilna i Zygmunta Abrahamowicza z Halicza, nigdy nie brakowało trzech rzeczy: nowych książek, szacunku dla tradycji oraz zachwytu nad dziełami sztuki. W efekcie wraz ze mną rósł mój patriotyzm, a raczej moje dwa. Żadne tam gliniane nogi – oba patriotyzmy, jak równoległe marmurowe kolumny, pewnie stały na dumie.

Duma z polskości mieniła się paletą Malczewskiego i Makowskiego, dźwiękami koncertów chopinowskich i piosenek Kaczmarek, potoczystą magią słów Kuncewiczowej i Leśmiana,

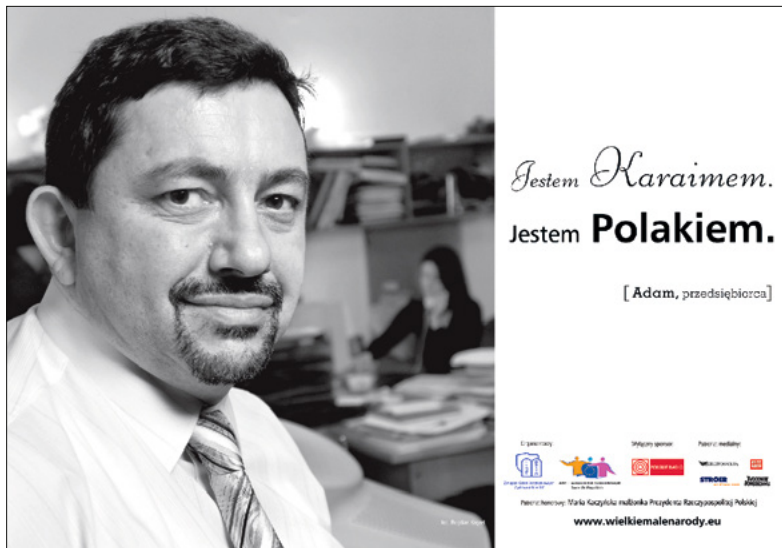
IV Konferencja Naukowa „Mniejszości narodowe, etniczne i językowe w Polsce na tle europejskim” na Uniwersytecie w Białymstoku w grudniu roku 2024. Fot. Uniwersytet w Białymstoku

teatralnymi rozbłyśkami wizji Kantora i Wajdy itp., itd.... (Z częstych w dzieciństwie wizyt w paryskich muzeach wyniosłam przeświadczenie, że nieważne, jaki procent danej krwi ma twórca danej kultury, skoro akurat jej językowi i jej odbiorcom oddał swój geniusz – bez reszty, pod rozważę, pod kosę krytyki). Duma z bycia Karaimką nie była tak kolorowa, a może nawet przeciwnie – była jak kryształ. Przezroczysta i niezauważalna dla zbyt nachalnych oczu, pełna subtelnych odcieni w oczach ludzi godnych dyskusji. Z nimi się dzieliłam, jak nieskończonym tortem, dumą z karaimskiego etosu, z umiławania wiedzy i sztuki, wielojęzyczności, mnogości talentów, tej niezrządkiem komplikującej nam życie uczciwości, tego niezwykle solidnego stosunku do pracy – zarówno zarobkowej, jak i społecznej, z uczestnictwa w modlitwach w trockiej kienesie, z leniwych dni na łódkach i wyspach anektowanych przez naszą kompanię roczników '59 i '61, ze wsparcia i serdeczności, na jakie w podróży czy u progu kariery mogliśmy liczyć ze strony współplemieńców itp., itd.... Musieli mi uwierzyć „na słowo”, gdyż archiwalne czasopisma i smak kybynów czy kształt tymbyłów nie były wystarczającym materiałem dowodowym dla bywalca krakowskich muzeów i sal wykładowych.

Przepisów na patriotyzm w czasach pokoju jest ogromnie dużo, ja jednak będę się upierać, że dwa składniki podkreślają jego smak: rozpoznawalność i splendor. Zaczniemy od moich doświadczeń z rozpoznawalnością Polaków w Europie.

Sierpień 1968: w drodze do Florencji mama blednie jak ściana, bo właśnie usłyszała o „polskiej sojuszniczej interwencji” w odwecie za Praską Wiosnę. Docieramy do Toskanii, wuj mamy Michał Łopatto – poeta, pierwszy florentyńczyk i futrzarz w historii rodziny – zabiera nas do Roccamare, gdzie tak jak Claudia Cardinale ma swoją willę z prywatną plażą, i tam mój brat zaprzyjaźnia się z synem sąsiadów. Ci jednak zrywają wszelkie kontakty w momencie, gdy dumny krakowski chłopak wyjawia, z jakiego kraju przyjechał. „Praga” po włosku brzmi identycznie, a „czerwona zaraza” – przekonująco... Jak nazwiemy to zjawisko – rozpoznawalność negatywna?

Listopad 1974: ojciec ma półroczny kontrakt w Paryżu i po tygodniu odwiedzania muzeów postanawiam pójść do francuskiej szkoły. Trzynastolatki ryczą ze śmiechu, że na pytanie o pochodzenie tak dziwnie wymawiam słowo „Bologne”,



bo o „Pologne” nigdy nie słyszały. Czarne włosy, czarne oczy, „Tu es Italienne!” – brak rozpoznawalności.

Maj 1980: po drodze na festiwal teatralny w Portugalii oprowadzam kolegów po Paryżu, w każdym kiosku gazety eksponują portrety Jana Pawła II z mocno sceptycznym komentarzem, przed Notre Dame już stoi drewniany podest na pierwszą jego wizytę. Dwa tygodnie później wracamy koło północy do Paryża, zaraz zamkną dworzec i metro, nie mamy załatwionych noclegów, ale nagle zaczyna się rozdział „rozpoznawalności pozytywnej”. Opowiadałam kolejarzom, że czeka nas długa podróż do Krakowa, a oni rozpluwają się w uśmiechach, bo to miasto papieża, który rozkochał w sobie Paryżan, wręczają nam klucz pod służbowe prysznice, przynoszą termosy z kawą dla dwudziestu dwóch osób i – rzecz niesłychana – pozwalają przenocować w poczekalni. Rok później tam będzie już kompletne szaleństwo „na tak” – Andrzej Wajda w Cannes ze Złotą Palmą dla „Człowieka z żelaza” i oczywiście Karnawał Solidarności z budzącym wolnościowe tęsknoty Francuzów, uwielbianym (po dziś dzień!) za swoją charyzmę i efekt domina, choć tak trudnym do wymówienia Lechem Wałęsą...

Negatywna rozpoznawalność jako Karaimki dotknęła mnie w drugiej klasie. Nie dość, że inni dostają na komunię pozłacane zegarki, to jeszcze niedawne przyjaciółki syczą na mnie: „Kocia wiara...”. Automatycznie zostaje wrzucona do pojemnej beczki z ciemnowłosymi przybłędami w niedzielę chodzącymi na spacer z zamiast do

Portret Adama Dubińskiego zobaczyć można było podczas kampanii billboardowej w całej Polsce. Grafika z archiwum ZKP

kościół. Ta niechęć wkrótce minie, ale rosnę i zaczyna mi doskwierać brak rozpoznawalności. W szkole średniej nieustannie tłumaczę, pokazuję dowody, lecz rozumieją tylko nieliczni. Na szczęście na studiach zainteresowanych jest znacznie więcej, a w życiu zawodowym spotykam wielu Polaków, którzy do dziś nam kibicują, choćby czytając „Awazymyz” czy podziwiając naszych tancerzy. Jeden z najpiękniejszych podrzdziałów rozpoznawalności napiszą w roku 2012 moje konsekwentnie wtajemniczane uczennice, zziżane od biegu na trzecie piętro gdańskiego liceum, gdzie mam pracownię: „Proszę pani, tam na dole w auli jest wystawa »Jestem stąd. Polska wielu narodów« i tam jest duży materiał o Karaimach, i jest zdjęcie takiej pani podobnej do pani!”

A splendor? W mojej krakowskiej młodości związany był nierozdzielnie z Uniwersytetem Jagiellońskim. Pełen zachwycających zaułków, zapachów i słów na emaliowanych tabliczkach Ogród Botaniczny UJ – sceneria całych epok mojego dzieciństwa; otoczona klombami rokokowa willa, gdzie mieściła się wielobarwna biblioteka British Council i UJ; wspaniała sala w Collegium Novum, gdzie mój tata w birecie i todze broił tezy doktorskiej; w Collegium Maius na podium wśród gronostajów moja mama, tłumaczka na żywo międzynarodowe konferencje; przyjęcia u zaprzyjaźnionej z rodzicami pani Hanki Lewickiej w domu, który niegdyś należał do jej ojca, profesora Tadeusza Kowalskiego; elegancja zachowań naszych wykładowców i pochwały udzielane studentom już od pierwszego roku; platerowa taca z herbatnikami, którymi częstował mnie dziekan, gdy przychodziłam po zwolnienie z zajęć z powodu wyjazdów na kolejne festiwale; szacunek w oczach zagranicznych gospodarzy i krajowych sponsorów wobec oficjalnego teatru studentów UJ... Chociaż poza tym magicznym światem staliśmy w ogromnych kolejkach po ser czy mydło, UJ czekał, aż wrócimy i znów otaczał nas swoją aurą miejsca dla wybranych.

Bycie Karaimką w Polsce w tamtych czasach nie miało nic wspólnego ze splendorem. Kiedy w latach siedemdziesiątych Karaimi zaczęli organizować zjazdy w Warszawie, od rana do wieczora



cieszyliśmy się z wielopokoleniowej wspólnej obecności w domu Prezesa Sławka Pileckiego lub w wynajętym na dwa dni anonimowym domu jednorodzinnym pod szyldem „Dom weselny”. Było wzruszająco, smacznie, interesująco i wesoło, ale też... bardzo ciasno. Czy mogłam wtedy przewidzieć, że w wieku XXI – w dużej mierze dzięki ustawie – będziemy się spotykać z rodakami na uroczystych wydarzeniach poświęconych Karaimom w tak pięknych i prestiżowych miejscach, jak Zamek Książąt Pomorskich w Szczecinie, Filharmonia Krakowska, Oliwski Ratusz Kultury, wrocławskie Centrum Kultury „Czasoprzestrzeń” czy Muzeum Azji i Pacyfiku w Warszawie?

Czy mogłam się spodziewać, że na hasło „Karaimka” wszędzie w Polsce usłyszę pozytywny odzew? Ktoś rozmarzy się, wspominając „karaimskie pierogi” w Trokach, ktoś inny powie, że ma płytę albo był na koncercie, ktoś widział filmy, obserwował wykłady, słuchał wywiadów, szperał w internecie i utknął na dobre zafascynowany urodą tańca... Być może za parę miesięcy doczekamy się gry planszowej dostępnej w szerokim obiegu, a to nie jest jeszcze ostatni z pomysłów na przyszłość. Za przyszłość trzymajmy kciuki, bo ona nam się należy.

Hanna Pilecka

Wystawa „Jestem stąd” pokazywana była w szkołach i instytucjach kultury. Tu – w Operze Podlaskiej w Białymstoku.
Fot. z archiwum ZKP